№ 8. Warszawa, dnia 7 (19) Lutego 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KILKA DNI W NOWYM-YORKU.

Z NOTAT PODRÓŻY

KAROLA BIGOT.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dalszy ciąg.)

Po całodziennej przechadzce wśród ulic Nowojorskich, usiłowałem zebrać wrażenia i streścić je w kilku wydatnych zarysach. Nowy York jak wiadomo, złożony jest z prostych podłużnych alei, przecinanych w poprzecz ulicami. Jedne i drugie wyciągnięte prosto pod linią. Oprócz małych wyjątków tak aleje jak i ulice, nie mają nazwisk, odróżniają się tylko numerami. Systemat to dosyć wygodny i znalazłszy naprzykład czwartą aleję, wiemy że koło niej ciągnie się piąta, a dalej szósta, ale za to ów system zimny jak matematyka. Przechadzka po Paryżu, daje nam lekcyą historyi, przypomina młodym Francuzom przeszłość kraju. Słynne nazwiska zapisane na rogach ulic, budzą drogie wspomnienia, świadczą o wdzięczności narodu, ku tym, co dobrze zasłużyli się ojczyznie, obiecując takąż nagrodę, nowem pokoleniem jeżeli pójdą w ślady ojców. Ameryka daje Francyi nie jeden dobry przykład, we względzie jednak ulic, nie chciałbym aby Francya zrzekła się dawnych tradycyi. Stokroć milsze mi nazwisko alei Hocha lub Klebera, niźli czwartej albo piątej alei.

Miasto zbudowane w szachownicę, może być bardzo porządne, ale pozór ma dziwnie monotonny. Nie dostrzeżesz tu nigdzie fantazyi ani najmniejszej niespodzianki, zawsze idzie prosto i prosto. Wiadomo, że linia prosta najkrótsza, ale gdy potrzeba wszędzie obchodzić prostopadle kanty, gdy żaden kwadrat nie przecięty linią w ukośnym kierunku, wtedy droga okropnie się przedłuża. Gdyby nowojorczycy mniej używali powozów i tramwajów, a więcej chodzili piechotą, przeklęliby matematyczny plan swego miasta.

Nie ma w ogólności drzew w Nowym-Yorku. Aleje wcale nie wysadzane niemi, różnią się tylko szerokością od zwykłych ulic. Oprócz trzech czy czterech skwerów odległych od siebie, oko nie spotka nigdzie zieloności. Wszędzie tylko kamień powleczony tynkiem częstokroć jaskrawym. Przy pałacach milionerów nie widziałem nigdzie ogródka. Grunt zanadto tu drogi, aby kto mógł pozwolić sobie podobnej fantazyi. Co najwięcej, jeźli przy wspaniałym pałacu, jest mała oranżerya, zwana tu zimowym ogrodem.

Powiedzmy otwarcie, Nowy-York nie należy wcale do miast pięknych. Na każdym kroku widoczna tu energia, uderza bogactwo i przepych, ale brak całkiem wdzięku. Gdziekolwiek jesteśmy, czy to w górnem czy w niższem mieście, wszędzie tylko domy i domy, wielkie i małe, bogate i skromne na przemian, nigdzie oko nie dostrzeże ani rzeki, ani portu, ani zatoki morskiej.

Świetna wystawa sklepów nie zatrzyma przechodnia, każdy śpieszy jakby go kto gonił. Kiedy deszcz pada, ulice brzydsze jeszcze, zawalone czarnem i ślizkiem błotem; miasto żałuje pieniędzy na utrzymanie porządku. Na trotuarach rozstawione rzędem słupy z drutami od telegrafów i telefonów. Te setki nici krzyżujące się w górze tworzą jakby sieć pajęczą rozciągniętą nad miastem.

Powiedzmy teraz słówko o napowietrznej drodze żelaznej: *elavated-rail-road.* Idzie ona od cupla zachodzącego w głąb zatoki, to jest od Bateryi, do Centralnego Parku, położonego w najwyższej części miasta. Ogarnia miasto dwoma ramionami, lewe ciągnie się brzegiem Hudsonu, prawe nad rzeką wschodnią (*Great Easter*). Pociągi następują co minuta po sobie. Gdziekolwiek się zatrzymasz cena zawsze jednaka, 25 centimów od osoby. Dro-

ga podniesiona do wysokości drugiego piętra, oparta na podwójnym rzędzie kolumn żelaznych. Budowa to śmiała, tem śmielsza, że w wielu miejscach szyny zakręcają się nagle, a jednak, odkąd istnieje ta kolej (od roku 1873), zdarzył się tylko jeden wypadek. Owa kolej przedstawia się wcale niepięknie.

Przy tych nieustannych pociągach i krążących tramwajach, nie brak sposobów komunikacyi, ale chcąc z nich korzystać, potrzeba znać dokładnie miasto. Ucho cudzoziemca, nie zdoła pochwycić nazwisk stacyi, wymienianych śpiesznie przez konduktorów; musimy więc używać powozów, a te nadzwyczaj drogie. Pierwsza godzina kosztuje półtora dolara (franków 7 i pół), następne płacą się po dolarze.

Dziś kurs powozów ograniczony taryfą, ale przed kilku laty, trzeba było targować się ze stangretem. Przyjazd od przystani do hotelu kosztował około trzydzieści franków.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

JAKŻE WIERZYĆ.

(Do S. W.)

Nie dziw się, jeźli kiedy w toń zwątpienia strącę
Serce, przykrym zawodem złamane sto razy;
Jakże wierzyć w serdeczne i tkliwe wyrazy,
Gdy ich nie popierają czyny równobrzmiące?

Jakże wierzyć w blask uczuć, jasny i bez skazy,
Kiedy go zaćmiewają czarnych chmur tysiące?
Gdy prąd niechęci mrozi wrażenia gorące,
Ciosem dotknięte serca przemieniając w głazy?

Biedne to serce dziwne przechodzi koleje:
Budzą je czasem z martwych gwiazdy na błękicie,
Wskrzeszonych uczuć mary, rozkwitłe nadzieje.

Zamiera, gdy chłód ostry oziębia je skrycie;
Czyż warto weń napowrót przywoływać życie,
Jeźli ono za chwilę znowu skamienieje?

Emilia.

KRÓLOWA WALCA.

NOWELLA.

NAPISAŁ

J. ALRYSSA.

(Dokończenie.)

Po obstalunki tymczasem zgłaszano się kilkakrotnie napróżno, w mieszkaniu jesienny chłód dawał się czuć coraz mocniej, a dzieci skarżyły się coraz częściej, że głodne.

Tak upłynęło kilka tygodni.

Siedząc pewnego dnia nad maszyną, na której od rana nie zrobiła ani jednego ściegu, spojrzała przypadkowo w okno i dostrzegła jakiś cień.

Z początku wzięła to za kogoś z przechodzących lokatorów, zwłaszcza, że cień ów przesunął się jak gdyby szedł dalej, gdy jednak spojrzała w okno, rysował się znów na szybie, a pochodził wyraźnie od osoby umieszczonej wprost jej mieszkania lub pod oknem.

Zaciekawiona podniosła się i poczęła uważnie przypatrywać.

Światło z podwórzowych okien, pozwoliło jej rozeznać, że cień ów padał od postaci kobiecej, która stojąc naprzeciwko jej mieszkania nie spuszczała z niego wzroku.

Młoda kobieta zdziwiona stała w oknie, postać z przeciwka nie ustępowała, trwało to dosyć długo aż w końcu znużona cofnęła się w głąb pokoju.

Kto ją mógł śledzić i dlaczego? nie mogła zrozumieć.

Powtarzało się to przez kilka dni z kolei, a zawsze w tej porze, kiedy siedziała zniechęcona i bezczynna.

Jednego dnia posłała właśnie kucharkę do wujenki z prośbą o pożyczenie kilku rubli (była bowiem bez grosza) a dzieciom które natarczywie domagały się jeść, dla uspokojenia, dała ostatnie dwa kawałki cukru, sama zaś dla ukrycia łez odwróciła się ku oknu, kiedy naraz krzyknęła jakby z przerażenia.

Tajemnicza owa postać kobieca stała tuż, tak że oddech ust jej padał na szyby.

Pomimo przestrachu, młoda kobieta pozostała pragnąc raz się przypatrzeć owej nieznajomej, która ją tak śledziła.

Była to kobieta bardzo stara, lat jej trudnoby oznaczyć, z twarzą pooraną zmarszczkami, z oczami wilka lub ostrowidza, które strasznie w nocy świeciły, z nosem jak dziób u jastrzębia.

Niezmiernie wysoką jej postać, okrywała jakaś brudna, w kawałki poszarpana szmata, z pod której wychodziły zamiast ciała nagie prawie kości, tak że możnaby ją wziąć za „Nędzę”, gdyby ta kiedykolwiek przybierała na siebie kształt ludzki, lub za szkielet człowieka gdyby nie ręce.

Ręce te bowiem obnażone aż do ramiona, przerażająco chude, odznaczały się przedewszystkiem niezmierną długością i wyrobionemi, jak u najsilniejszego mężczyzny muskułami.

Najcharakterystyczniejszem jednak było ich zakończenie.

W miejsce bowiem zwykłych palców i paznogci, miały ostre, długie szpony, jak u sępa lub orła.

Widocznie przyzwyczajone do ciągłego chwytania, w tej chwili również otwierały się i zaciskały silnie, jakby gotując do nowej zdobyczy.

Młoda kobieta, pod wrażeniem tego zjawiska, nie śmiała zrobić kroku, zwłaszcza, że w pokoju zmrok zapadał coraz większy, widząc jednak, że upiór kobieta wpatruje się w nią coraz śmielej, coraz chciwiej, przerażona porwała dziewczynkę na ręce, pociągnęła chłopczyka i schroniła się do kuchenki.

Gdy kucharka powróciła i zapalono lampę, wtedy dopiero odważyła się wejść do pokoju, pod oknem jednak nie było już nikogo.

Niezwykłe to zjawisko przeraziło ją tak, że przez całą noc nie mogła zmrużyć oka.

Nazajutrz jednak, pod naciskiem przygniatającej ją niedoli, mimowoli zapomniała o widmie.

Miała bo rzeczywiście wiele zmartwienia.

Gospodarz, który kilkakrotnie już upominał się za komorne, oznajmił jej, że jeżeli się nie uiści w przeciągu tygodnia, zmusi ją do wyprowadzenia się, właściciel wziętej na rachunek maszyny, upominał się o swą należność również groźnie, kilka zaś rubli pożyczone od wujenki, pochłonęły zaległości w sklepikach i u rzeźnika.

Kucharka powróciła z miasta prawie z pustym koszykiem.

Ostatek energii opuścił ją, rozpacz ogarnęła i zamiast coś przedsięwziąć, płakała po dawnemu.

Kobieta upiór tymczasem, stawała już coraz jawniej i częściej pod jej mieszkaniem, coraz śmielszą przybierała postawę, aż pewnego dnia posunęła swe zuchwalstwo do tego stopnia, że pozwoliła sobie zapukać do okna.

Było to w biały dzień, w chwili gdy ona i dzieci posilały się herbatą i kawałkiem suchego chleba zamiast obiadu.

Biedna kobieta zerwała się przerażona, spojrzała w okno, upiór nie usuwał się wcale, a szpony jego odcisnęły się na szybie.

Drżąc na całem ciele, nie wiedząc jak pokryć swe pomieszanie przed dziećmi, które na widok przestrachu matki, poczęły same się lękać, podbiegła do stoliczka i porwawszy leżącą na nim, dawno już porzuconą robotę, podłożyła ją pod maszynę i zaczęła gorączkowo szyć.

Turkot poruszanego mechanizmu głuszył jej myśli, odwracając je mimowoli na odrobioną robotę.

Szyła więc niepodnosząc oczu od maszyny, umysł jej uspokoił się powoli, strach przeminął i gdy skończyła szycie, zmierzch już począł zapadać.

Składając robotę, spojrzała w okno, upiora kobiety ani śladu!

Miałżeby go odstraszyć turkot maszyny?!

Reszta wieczoru zeszła jej na zupełnem wykończaniu roboty, tak że nazajutrz dzień gotową odesłała i otrzymała zapłatę!

Tego też dnia była dużo weselsza, a dzieci i ona jadły już obiad.

Chęć do pracy wracała po trochu, rozpoczęła więc nowy obstalunek i siadając do maszyny, mimowoli przypomniała sobie wczorajsze zajście!

Spojrzała w okno!

Kobieta upiór dopełniwszy przeglądu wszystkich mieszkań, podeszła właśnie pod jej, ciekawie zaglądając wewnątrz.

Ale młoda pracownica, pomna wczorajszego odżegnania natychmiast przyłożyła robotę do maszyny, poruszyła ją drobną nóżką i turkot rozległ się głośno.

W pięć minut potem widmo zniknęło.

Teraz uwierzyła już, że nie znosi tego turkotu.

A jednak było to niezmiernie uparte zjawisko,

Przez kilkanaście dni jeszcze z rzędu nawiedzało biedną pracownicę, niezrażone tem, że natychmiast musiało uciekać.

Młoda kobieta bowiem, pracowała znów gorliwie, robota napływała jej obficie a za nią zapłata, tak, że zdołała popłacić drobniejsze długi, kupić dzieciom nowe obuwie i dać zawsze kucharce na skromny obiad.

Widząc jej pracę gospodarz, prolongował jeszcze z wypłatą.

Z lepszem nieco powodzeniem, wracał i dawny jej humor.

Weselsza! lubiła się drażnić z nawiedzającem ją jeszcze widmem, ile razy bowiem takowe zbliżało się (ostrożniej już teraz) pod okno, ona wtedy szyła pilniej jak poprzednio, poruszała jak mogła najszybciej maszyną, śmiejąc się głośno.

Manewr ten, przełamał nakoniec natręctwo jej prześladowczyni, zaprzestała bowiem podchodzić pod okno, ograniczając się tylko na obserwowaniu

jej z przeciwka, aż pewnego dnia uciekła z bezwładnie opuszczonemi szponami i odtąd nie pokazała się już więcej.

Ten dzień młoda kobieta pamiętała dobrze, siedziała bowiem wtedy w oknie, trzymając w ręku kwit z opłaconej gospodarzowi należności za lokal!

VI.

Upłynęło trzy lata!

Na jednej z pryncypalniejszych ulic, w gustownie urządzonym Zakładzie Bielizny Damskiej, w sklepie znajdowały się dwie kobiety.

Obiedwie zajęte były liczeniem i gatunkowaniem kosztownej wyprawy, którą tylko co wykończono u nich, a która dziś jeszcze miała być wysłana na wieś, dla posażnej narzeczonej.

Był to pierwszy tak znaczny obstalunek, obiedwie też panie doskonałe miały humory.

Jedna z nich młodsza, to dobra nasza znajoma, dawna „królowa walca" a dziś właścicielka magazynu, druga nieco starsza jej towarzyszka z Zakładu Rękodzielniczego, a obecnie wspólniczka.

Trzy lata pracy nie ujęły nic z wdzięku i piękności tej pieszczoty salonów.

Była znów, chociaż odmiennie szczęśliwa!

Przezwyciężywszy sama siebie, pracowała z zamiłowaniem i wytrwałością, zdobywając stopniowo uznanie i klijentelę, a nakoniec i zacną wspólniczkę, której kapitalik złączony z tem co sama zdołała zaoszczędzić, pozwolił im otworzyć interes na szerszą skalę.

A przytem dzieci jej chowały się zdrowo i uszczęśliwiały ją, starszy chłopczyk uczył się już, przygotowując chętnie do prywatnego pensyonatu, a dziewczynka chociaż jeszcze mała, obiecywała już jednak być kiedyś tak ładną jak mama.

Kończyły właśnie wspólniczki gatunkowanie wyprawy, gdy do sklepu weszła średnich lat kobieta.

Była to wujenka!

Częsty gość w sklepie siostrzenicy z którą godziły się teraz i rozumiały zupełnie, po przywitaniu, energiczna krewna, której zwięzłość wysłowienia nie opuszczała nigdy, zawołała:

— No szykuj toaletę! Za dwa tygodnie stanowczo ślub Lorci!

Siostrzenica usłyszawszy propozycyę, wydawała się nieco zakłopotaną.

— Wie wujenka! — odezwała się dopiero po chwili — namyślam się czy pomimo najszczerszych chęci iść na ten ślub? To pociągnie koszta a ja chciałabym na przyszły rok oddać Tadzia ze wszystkiem do pensyonatu!

Wujenka się nieco obruszyła.

— Kto mówi o kosztach? — zawołała. — Weź skromną suknię a zabawisz się i tak dobrze, należy ci się to przecie za trzy lata wytrwałej i ciężkiej pracy.

Uwaga ta trafiła widocznie do przekonania młodej kobiety, bo w dwa tygodnie potem znajdowała się w orszaku weselnym.

Po powrocie młodej pary z kościoła, na ogólne życzenie rozpoczęto tańce.

Zagrano walca.

Od trzech lat, dźwięki tak uroczego tańca, z wyjątkiem może kataryki podwórzowej, nie dochodziły uszu naszej bohaterki!

A ileż to nowych walców skomponowano od tej pory?

Ten, którego grano, wyśpiewał mistrz Strauss!

To też namiętne, upajające jego tony, wywołały naraz tysiące wspomnień w głowie młodej kobiety.

Mimowoli cała przeszłość stanęła jej przed oczami.

Chwilę siedziała jak odurzona.

Wtem podszedł jeden z tancerzy, podniosła się żwawo, pochyliła na jego ramię i w szalonym tempie popłynęli przez salę.

Tańczyła z dawnym szałem pięć razy z kolei, upajając się tak tańcem jak i muzyką.

Przy ostatnim jednak „tourze" uczuła zmęczenie i jakby mały zawrót głowy.

Nie miała jednak jeszcze czasu by ochłonąć, gdy nowy tancerz stał już przed nią.

Był to dawny jej znajomy.

Tańczyli z sobą przez pięć lat na wszystkich balach i wieczorach!

On tańczyć nie przestał, a chociaż nagle stracił ją z oczu, poznawszy teraz biegł rozradowany.

— Jeden „tour" — szepnął błagalnie.

— O! nie teraz! — odparła wachlując się.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Jestem zmęczona!

— Zmęczona?! pani?! królowa walca?! — wołał tancerz.

Młoda kobieta uśmiechnęła się smutnie.

Jakże dawne wydały jej się te czasy, gdy ją tak nazywano?

— Królowa walca! — szepnęła. — Gdzie jej szukać?

— Jakto?

— Tej! którą tak nazywano, dawno już nie ma!

— Nierozumiem! — rzekł młody człowiek naprawdę zdziwiony.

Ona popatrzyła nań i w pół poważnie, w pół żartobliwie rzekła:

— Zniknęła! Ustąpiła miejsca kobiecie i matce!

KONIEC.

ZBRODNIA W AWERSIE.

TRAGEDYA HISTORYCZNA W PIĘCIU AKTACH,

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Dalszy ciąg.)

AKT TRZECI.

Odsłona pierwsza.

(Dekoracya jak w pierwszym i drugim akcie.)

SCENA I.

Cesarzowa, Ludwik.

LUDWIK.

Wyjazd więc Elżbiety nieodwołalny?

CESARZOWA.

Nareszcie! — Chwili pozostać nie może,
Bo tam o polską jej chodzi koronę.

LUDWIK.

Szkoda! Przez kilka miesięcy na dworze
Tak wszystko było świetne, ożywione!
Co dnia przejażdżki, sokoły, gonitwy,
Śpiewy i tańce, turniejowe bitwy!
A ile złota rozsianego wszędzie!

CESARZOWA.

Jeżeli myśli, że ten siew da żniwo
Bujne synowi, to jest w wielkim błędzie!
Wściekać się musi — wszystko poszło krzywo.
Tam w Awinjonie zawody i klęska;
Tu się pociesza przepychem zwycięzka,
Że nas przygniotła! — Cha! cha! cha! zwycięża!
Nie widzi mądra ta bez oczu głowa,
Cha! cha! cha! że jej młodziutka synowa
Zanadto słodka dla swojego męża!

LUDWIK.

Dziś na turnieju ja barwę królowej
Mieć będę.

CESARZOWA.

Po co? Zaślepionej głowy
Ździerać ślepotę nie zawsze rozumnie.

LUDWIK.

Ten mały pawik tak spogląda dumnie...
Chcę go...

CESARZOWA.

Przegląda przez te pawie pióra
Pyszna i butna madżiarska natura,
Głaszcz ją nie drażnij. Słuchaj mej przestrogi:
Mężom nie mili zawsze zalotnicy;
Zwycięztwo twoje trzymaj w tajemnicy.
Wierną swą żoną niech się jak najdłużej
Cieszy — przed czasem nie wywołuj burzy.

LUDWIK.

Jestem rycerzem; — serca mego pani
Choćby na tronie, — to rycerza prawo.

(Odchodzi.)

CESARZOWA.

I to jest prawda.

SCENA II.

Cesarzowa, Elżbieta, Joanna.

(Elżbieta wchodzi z Joanną.)

JOANNA (do Cesarzowej).

Próżne prośby moje!
Łez mi już nie stać.

(Do Elżbiety.)

Matko! sierot dwoje
Tu pozostawisz.

ELŻBIETA.

A komuż ten rozdział
Boleścią cięższy? Czy przed wami dzieci
Świat czarodziejski młodości nie świeci?
Z pod lekkiej stopy wam na każdym kroku
Tryska krynica miłości uroku.
Ile Bóg kwiatów posiał na to pole,
A w kwiatach ile balsamu na bole!
Ten kwiat już dla mnie przeminął me dziatki!
Wszystko wziął z sobą, a to co zostawił

Do was przyrosło młode moje kwiatki!
Jak trudno od nich oderwać się, wierzcie!

CESARZOWA.

Ależ się znowu tak siostro nie spieszcie!
Najkrótsza chwila — to skarby dla matki!
I ja się z dzieci wydzierałam łona,
Znam ja te bole. Chociażby dni kilka!
Co one znaczą? — przeminą jak chwilka!
Ale w tę chwilkę jedną, Bóg przelewa
Całą potęgę świętego wspomnienia,
Balsam na matki dalekiej cierpienia.

ELŻBIETA.

Nie kuś mnie siostro! bo mnie kusząc, grzeszysz;
Wiesz miłość stacza z powinnością boje,
A polem walki biedne serce moje —
Nie kuś, przez Boga!

CESARZOWA.

Wiem, dlaczego śpieszysz,
A więc zamilknę.

ELŻBIETA.

Pierwszy wiatr powieje
Oderwie biedną jak od drzewa listek,
I to od drzewa w którem świat mój wszystek!
Wiatru czekają już tylko okręty;
I żeglarz wiatr ten po królewsku chwyta,
A władzca żagiów niczem nie ugięty,
Królów nie słucha! Czy łzami kobieta,
Skruszyć go może, gdy zawoła: „w drogę!"

JOANNA.

Łzami i modłą wiatry ukołyszę,
Długą na morze Bóg posieje ciszę,
Zostać nam musisz!

SCENA III.

Też same, Mistrz ceremonii i Posłaniec.

MISTRZ CEREMONII (wchodzi, za nim posłaniec).

Listy z Awinionu.

(Odchodzi.)

ELŻBIETA.

Więc, do widzenia!

CESARZOWA.

Nie mam tajemnicy —
Pozostań, proszę!

POSŁANIEC.

Śmiertelnej śnieżycy
Alpy są pełne — przedarłem się cało,
Bóg wielki pomógł, lecz się dni z dziesiątek
Później przybyło niż się przybyć miało.

(Oddaje listy, odchodzi.)

CESARZOWA.

To do królowej Joanny.

(Daje list, obie czytają, na str.)

Sprawił się Lazaro!

(Udaje zasmucenie.)

ELŻBIETA.

Cień na twej siostro rozlewa się twarzy.

CESARZOWA.

Złemi wieściami Lazaro nas darzy.

ELŻBIETA.

Z lic to twych zgadłam.

CESARZOWA.

Ostatni trybunał
Do roku całą nam sprawę odkłada.
Przez czas ten święta stolica wybada
Potrzeby kraju przez swych delegatów,
Trybunał po tem, przez nich oświecony
Osądzi co się dotyczy korony.

JOANNA.

Petrarka mistrz mój, żali się przede mną,
Że do papieża wstawiał się daremno,
Mistrza odmowa ta boli i w liście
Skarży się gorzko. Dotknion oczywiście,
On, co się silnym u papieża sądził,
Gdy ujrzał nagle, jak w sądzie swym błądził.

ELŻBIETA.

Smutne to wieści! Pociecha jedyna
Wielka została, że dziś wiem serc ile
Pięknych a pełnych miłości dla syna
Tu wkoło niego.

CESARZOWA.

Jak jestem szczęśliwa,
Że ty to widzisz!

ELŻBIETA.

A jednak...

CESARZOWA.

Co jednak?

ELŻBIETA.

Daruj mi siostro, ból mi pierś rozrywa!
Ty znasz to dobrze co matki niepokój,
A więc na wieki w łańcuchy mnie okuj,
W łańcuchy siostro bez granic wdzięczności!
Bo widzisz, dla mnie od was tak dalekiej,
Każdy przyczynek do matki ufności,
Każda poręka, to ma krew, to życie!
Więc dziecka mego nie puszczaj z opieki!
Tronów cesarskich chlubo i ozdobo;
Za to co zrobisz Pan Bóg będzie z tobą!
Siostro, przysięgnij, że gdy wyjdzie bulla,
Nie dasz odwlekać koronacyi króla.

CESARZOWA (na str.).

Bulla nie wyjdzie!

(Głośno.)

O pełna ochoty
Przysięgam siostro na ten krzyż twój złoty,
I na relikwie męczenników święte
W ramionach krzyża twojego zamknięte;
Daj ucałować krzyż.

(Całuje przybliżony krzyżyk i bierze go w rękę)

W rękę go imam,
Niechaj mnie sądzi jeźli nie dotrzymam!

(Na str.)

Bulla nie wyjdzie!

ELŻBIETA (ściska rękę Cesarzowej).

Jestem więc przykuta
Do serca twego wdzięcznością na wieki!

SCENA IV.

Też same, Ludwik i Andrzej.

(Wchodzi Ludwik i Andrzej, w lekkich strojach rycerskich, Andrzej staje przy Joannie.)

LUDWIK (na str.).

Wieść już po całym rozeszła się dworze.

(Głośno do Cesarzowej.)

Pyłem pokryty musi być z dalekiej
Ziemi ten poseł; piersi konia piana
Zbieliła, ostróg na bokach robota
Krwawo się znaczy.

CESARZOWA.

Goniec z Awinjonu.

LUDWIK (do Elżbiety ironicznie).

Nie od naszego to wieści Istwana?

ELŻBIETA (na str.).

Szydzi.

(Głośno.)

Książę, listy od Lazara.

LUDWIK (zwracając się do Andrzeja, ironicznie).

Czy się zbliżamy powoli do tronu?

CESARZOWA (surowo).

Książę Tarentu! stanu tajemnice,

(Wskazuje Elżbietę i siebie.)

Naszą własnością.

(Na str.)

Niezręczny.

(Głośno.)

Lecz stara
Przyjaźń Petrarki swą wychowanicę
Obdarza pismem.

LUDWIK (zbliża się do Joanny).

I czy to pieśń mistrza
Pragnie zadzwonić dźwięczniejsza i czystsza,
Srebrny głos żeniąc ze złotemi słowy?

ANDRZEJ (na str. gniewnie).

Tego zanadto! skarcę tę zuchwałość!

(Głośno.)

Książę Tarentu! majestat królowej
Tylko przez łaskę, tak, tylko przez łaskę
Milczeniem zbywa zbytnią poufałość.

ELŻBIETA (surowo).

Nie znasz co dwór jest — i budzisz niesnaskę.
W gronie rodzinnem, tu przecie wśród nas
Tylko cesarska, tylko krew królewska.

ANDRZEJ (z gniewem).

To mnie uraża!... i przyjdzie ten czas...

LUDWIK (z uśmiechem szyderczym).

Jaki mój książę?

ELŻBIETA (wstając).

Może na turnieje
Zbliża się pora...

ANDRZEJ (do Ludwika).

Nie chcę by kolory
Kto miał królowej.

LUDWIK.

Mnie uczyły dzieje,
Takie rycerza zawsze było prawo,
Za godło nawet różę tronów bierze,
I z niem wśród bojów odziewa się sławą.
Jestem rycerzem!

ELŻBIETA (do syna).

Świat ci cały powie,
Że takie prawo zdobyli rycerze.

ANDRZEJ.

Matko! ja nie chcę!!

ELŻBIETA (cicho do Joanny).

Jak on ciebie kocha!

CESARZOWA.

Idźmy się przyjrzeć siostro turniejowi.

(Bierze pod ramię Elżbietę, wychodzą wszyscy bocznemi drzwiami.)

LUDWIK (idąc na ostatku).

To lwie pazury rosną niedźwiadkowi!
Przytnę je tobie!!

(Zasłona zapada.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HYPNOTYZM.

(Dalszy ciąg.)

Istnieje wszakże inny wzgląd jeszcze, który każe przy wymiarze sprawiedliwości, szczególną zwracać uwagę na hypnotyzm. Oto osoby uśpione zapominając o krępujących je na jawie więzach towarzyskich, niepewne hypokryzyi, konwenansu i poczucia fałszywego wstydu, wracają do rzeczywistych swych usposobień, zdradzając niejednokrotnie dążenia i instynkta iście pierwotne. Skłonność do kradzieży, lekkich obyczajów, cynizmu lub kłamstwa, wrodzone krwiożercze żądze, chęć mordu, pragnienie zemsty, wszystko to z podwójną występuje siłą, a niekrępowane żadnemi zewnętrznemi względami świata, daje nam poznać człowieka takiego jakim jest w rzeczy samej. W świętoszku odkrywa zbrodniarza, w niesympatycznym i surowym osobniku, męża prawego o niezłomnych nieraz zasadach honoru i obowiązku. Tak więc hypnotyzm oprócz wielkich własności leczniczych, może jeszcze oddawać moralne przysługi, służąc do zdemaskowania wewnętrznej istoty uśpionego.

Wola hypnotyzera tak silny wpływ wywiera, iż osoba uśpiona nie jest w stanie oprzeć się rozkazowi jego nawet po przebudzeniu; jeżeli przeto polecono jej wykonać czynność jakąś, w dziesięć dni dajmy na to, od daty posiedzenia, wewnętrzna a niewytłomaczona dla niej pobudka, każe jej rozkaz ten ślepo spełnić, jakkolwiek nie jest w stanie wytłomaczyć dlaczego postępuje tak a nie inaczej. To samo stosuje się i do widzeń jakie miewa we śnie; zahypnotyzowany uważa halucynacye za rzeczywistość; myśli poddane sobie, za swoje własne; czyny za wynik woli samodzielnej. Hypnotyzera bowiem tak nierozerwalnie jednoczy ze swoją osobą, że jak to opowiada pan Janet w „Révue philosophique", jedna z pacyentek odczuwała w śnie hypnotycznym, nietylko wolę jego, ale i brata, drugiego p. Janet, który był doń nader podobny.

Gdy ją raz uśpiono, brat ów pana Janet wyszedłszy do drugiego pokoju, sparzył sobie umyślnie rękę. Chora krzyknęła przeraźliwie, jakby pod wrażeniem bólu i chwyciła za to samo miejsce na swojej dłoni.

Gdy ją zbudzono, zaczęła rękę okładać zimną wodą, co powtarzała jeszcze nazajutrz skarżąc się, że dłoń piecze ją i boli niewiadomo z jakiej przyczyny.

Dowiedzionym jest faktem, iż zahypnotyzowani nie pamiętają po przebudzeniu nic z wrażeń, jakich podczas snu doznawali.

Przy powtórnem dopiero uśpieniu, nić wspomnień nawiązuje się i z całą nieraz żywością odtwarza i uzupełnia doznane wpierw halucynacye.

Doktor Złotnicki hypnotyzmem również tłomaczy stan *anabiozy* (bezżyciowości), do jakiego dochodzą *yogi*, czyli fakirzy indyjscy, którzy przez nieustanne zwracanie całej swej uwagi w jednym stałym kierunku i przez stopniowe pokonywanie w sobie wszystkich innych popędów, dochodzą do takiego oderwania się od ziemi i siły woli, iż pozwala im ona jak utrzymują, porozumiewać się z sobą na znacznej przestrzeni, za pomocą wewnętrznego prądu magnetycznego, lub wznieść się naprzykład, na parę łokci w powietrze i utrzymać tak w zawieszeniu, bez żadnego punktu oparcia.

Zwolennicy nirwany doszli więc wpierw do wyników, jakie my dziś za pomocą mozolnych zdobywamy doświadczeń, a trzeba przyznać, że próby naukowe w zupełności potwierdzają ich zapatrywania.

Człowiek, któremu zawiesimy przed oczami pęk kluczy i każemy patrzeć w nie nieprzerwanie, skupiając równocześnie wszystkie myśli na tym jednym przedmiocie, popadnie zawsze prawie w głęboki sen hypnotyczny; fakir indyjski, który usiadłszy wśród pustyni ze źrenicami wlepionemi w przestrzeń, chce zatracić poczucie rzeczywistości, temu samemu poddaje się procesowi.

Oddziaływanie zaś jednych osób na drugie z pewnej nawet odległości, jest także faktem stwierdzonym.

Héricourt sprobował zahypnotyzować myślą pewną kobietę, z którą wpierw już podobne robił doświadczenia. Jakkolwiek oddalona o kilka minut drogi i we własnem znajdująca się mieszkaniu, uczuła tak gwałtowną chęć do snu, iż pomimo stroju spacerowego, gdyż wybierała się właśnie na przechadzkę, osunęła się na krzesło w stanie zupełnej nieświadomości, z której wola hypnotyzera po dwóch godzinach zbudziła ją dopiero.

Pan Złotnicki objaśnia, iż sam już kilkakrotnie probował to samo wykonać doświadczenie, a wola jego tak pomyślnym była uwieńczona skutkiem, że nietylko usypiał z oddalenia osobę wybraną, ale nawet myśli jej odgadywał.

Porównując teraz fakty powyższe i kładąc nacisk na to, iż człowiek siłą własnej woli sam zahypnotyzować się może, (jak to widzieliśmy na przykładzie fakirów indyjskich), pojmiemy nareszcie chorobliwe widzenie i halucynacye, jakich doznają osoby pogrążone w ekstatycznem zamodleniu, zupełnie oderwane od świata i swego otoczenia. Fakt ten tłomaczy nam niezliczoną ilość cudów, wizyi i nadprzyrodzonych zjawisk opowiadanych przez ascetów i mniszki średniowieczne, które nie wiedząc o tem same się w stan hypnotyczny wprawiały. Jeżeli siła nerwowa odpowiedniego wyobrażenia, wystarcza do wywołania stosownych zjawisk, jeżeli na żądanie hypnotyzera z ręki uśpionego krew się toczy, lub członek wskazany sparaliżowanym na czas jakiś zostaje, jeżeli przyłożenie pióra, palca, lub czegokolwiek, z uwagą: „teraz cię sparzę", wystarcza aby na ciele zahypnotyzowanego wystąpiły wszystkie objawy sparzenia i rana nawet, to dlaczegoż takie samo zapatrzenie się w mękę Pańską, nie mogło wywoływać krwawych stygmatów na rękach, czole i nogach?

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

My się kochamy. Komedya w 5-ciu aktach, Edwarda Lubowskiego.

Praca ta dramatyczna utalentowanego Pisarza, świeżo wprowadzona na scenę naszego teatru, należy do sztuk zdobytych przez ogłoszenie konkursu imienia Bogusławskiego, w którym odznaczono ją ale niepremiowano. Podobny los spotkał i inne komedye na tenże sam konkurs oddane, z tych pochlebnie tylko ocenione już były na widok publiczny wprowadzone, innych przedstawienie na różnych teatrach polskich zapowiedziano, o jednych tylko premiowanych jakby zapomniano, chociaż im przedewszystkiem należało pierwszeństwo.

Wypadek to dość dziwny, niemożność pokazania ich rzeczy nie objaśnia, należy więc koniecznie wnosić, iż sąd był mylny.

I tak było rzeczywiście, a przyczyną tego... niepomierna praca czytania rękopismów i ślamazarstwo w dobroci ulegania prośbie, której spełnienie żadnej nieprzynosząc nam szkody, stawia w rzędzie osób wpływowych, umiejących z kozła zrobić barana.

Nie oskarżam tu nikogo szczegółowo, ale wiem z własnego doświadczenia, że tacy gębacze jak krzykną: arcydzieło! i na dowód tego przeczytają kilka wyjątków wprzódy już starannie wybranych, pociągają za sobą i drugich, polegających na zdaniu gębacza, bardzo dla nich wygodnem, bo uwalniającem niejako od zmudnego czytania rękopismu, i praca mierna z pobłyskami niewyrobionego jeszcze talentu, ciągle podnoszona, chwalona, koronowana, odnosi pierwszeństwo nad inną lepszą, ale pozbawioną zręcznej opieki uproszonego przedtem sędziego.

O nieposiadanie bowiem odpowiednich warunków, do trafnego sądu pracy nie tak znów trudnej do osądzenia, wybranych sędziów posądzać nie można.

Bywają do tego zwykle uproszeni wytrawni pisarze, szczególniej w dziale krytycznym, że zdobytemi już w nim poważnemi stanowiskami, których zdanie jest zawsze wysoko cenione, mieliżby więc tacy tylko w sądach konkursowych zadawać kłam zdobytej o sobie opinii?

Niepodobna tego przypuścić i dlatego śmiało można ich posądzić o uległość tym, co za protegowanym umieją gardłować.

Komedya *My się kochamy*, oparta na naszych stosunkach ekonomicznych ze szlachetnym celem jaki zawsze odznacza wszystkie prace p. Lubowskiego, przedstawia walkę naszych dobrych i złych skłonności, w której złe często górę bierze nad dobrem.

Treść komedyi nie posiada żadnych nadzwyczajnych zawiłości, które zręcznie ułożone drażniąc widza, utrzymują w nim ciągłe naprężenie ciekawości. Jest to przymiot niezmiernie ważny, przy odpowiednim talencie tylko wprawą i czasem zdobywany, a jakim słusznie chlubią się Francuzi.

W komedyi p. Lubowskiego, występuje młody i bogaty człowiek, niejaki Liwski, który ukończywszy nauki w Paryżu, powraca do kraju z gorącem pragnieniem niesienia mu usługi z pożytecznej pracy, do jakiej jako bogaty, czuje się tymbardziej obowiązany. Rzuca się też z całym zapałem na pole przemysłowych zajęć, poświęca na to cały swój majątek, powołuje do spółki innych, zakłada przędzalnie, buduje koleje żelazne i istniejące już instytucye oczyszcza z żywiołów obcych, którym ulega miejscowy żywioł arystokratyczny.

Skutkiem tego, oba żywioły oburzają się na Liwskiego i stają się jego nieprzyjaciołmi, ale gdy tenże chwiać się w swych interesach zaczyna, przemysłowiec Holfein uosabiający w sobie obcy żywioł obojętnie się względem nowatora zachowujący, przychodzi do niego ze szlachetną pomocą zupełnie bezinteresownie, oświadczając, że mu żal, aby człowiek tak zdolny i przedsiębierczy, ginął skutkiem jedynie niedołęztwa własnej społeczności.

Cóż jednocześnie robi żywioł drugi, swojski, niby arystokratyczny, przedstawiony przez hr. Karola i jego otoczenie?

Żywioł ten w komedyi, patrząc na całe przedsiębierstwo Liwkiego dążące do ruiny, zaciera ręce z radości i naśladując niejako osła kopiącego wzgardliwie lwa umierającego, osnuwa go najpodlejszemi intrygami. potwarzą, plotką a nawet oskarżeniami o czyny... kryminalnej natury. Nie poprzestając na tem, z całą zajadłością rzucają się na najtkliwsze jego uczucia i wiedząc, że jest narzeczonym bogatej panny, Natalii Murskiej, kochanej przez niego z całym zapałem młodzieńczego uczucia i kochającej wzajemnie, postanawiają małżeństwo to zerwać.

W tym celu pani Bliniecka, dama salonów arystokratycznych, posiadająca listy Liwskiego z czasów jeszcze studenckich, zmienia na nich daty i niemi przekonywa Natalią, że Liwski już będąc jej narzeczonym, przesyłał oświadczenia miłosne jej samej Blinieckiej, które ze wzgardą odrzucała i trzymała w tajemnicy niechcąc sprawy rozmazywać.

Potwarz ta tak bezczelnie ułożona, a tak łatwa do wykrycia, zyskuje zupełną wiarę w Natalii, czem biedna dziewica do rozpaczy doprowadzona, postanawia zerwać z Liwskim i rękę swą ofiarować dawnemu a odrzuconemu przez nią konkurentowi, kuzynkowi hr. Karola, Kręckiemu.

Liwski oczyszcza się z zarzutu ale nie przebacza Natalii, tak łatwo zmieniającej swe uczucia, nieoparte na bezwzględnem zaufaniu.

Mimo tego, oszczerstwa i najhaniebniejsze intrygi, podkopały kredyt Liwskiego, wszyscy żądają zwrotu kapitałów, powierzonych mu w prowadzonych przez niego interesach, nikt nie idzie mu z pomocą, wszyscy się od niego odsuwają, czem przyprowadzony do ostateczności szuka ratunku w Holfejnie, mówiąc:

— Nie mogę iść z dobrymi, pójdę więc ze złymi!

Zapowiada przytem, że wzmożony nowemi siłami, stanie do walki bo się za pokonanego nie uważa, choć spółkę z obcym zawarł. Ojcu zaś Natalii, pragnącemu narzeczonych pojednać, powiada, że z czasem może zapomni o krzywdzie mu wyrządzonej, ale dziś zanadto czuje ją w sercu swem, aby to stać się mogło.

Na tem kończy się komedya, ale przed zapadnięciem kortyny, na zapytanie, dlaczego tak się stało?

— Bo my się kochamy — odpowiada Fitulski, postać satyryczna w komedyi, a na co poczciwy szlachcic Morawicz odpowiada:

— Nie! bo my się nie kochamy!

Komedyę przedstawiono z wielkiem zdaje się zadowoleniem widzów, bo oklaskiwań i wywoływań Autora nie brakło. Sumienny jednak krytyk musi go zapytać, gdzie znajduje się tak znikczemniała arystokracya, jaką w sztuce swej przedstawił? Naszej bowiem jak zwykle ludziom, można wiele zarzucić, ale nigdy takich nikczemności o jakie ją w komedyi oskarżono.

Gdzie także jest Niemiec podobny do Holfejna, gdyż pomiędzy nami każdy zgodzi się zapewne, iż podobnego nie znajdzie, szukając nawet w samo południe z lampą Dyogenesa.

Oto jest główny zarzut pracy pana Lubowskiego, w obszerniejszym rozbiorze, możeby dało się wytknąć z pewną słusznością, brak starannego opracowania, jednolitości w całym układzie, za wiele monologów i deklamacyi nużących i nudzących słuchaczy, braku ztąd wynikającej żywności akcyi, ale zostawiam to sądowi samych widzów, którzy niezawsze ze zdaniem krytyki zgadzają się.

Co do artystów ci jak zwykle z wielką starannością spełniają swe zadanie, głównie jednak na wyróżnienie zasługują: pp. Rapacki, Leszczyński, Grubiński i Prażmowski, a z kobiet p. Marczello.

G.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Karnawał dogorywa i za dni kilka stanie się miłem tylko wspomnieniem. Utrzymują, że Warszawa bawiła się umiarkowanie i najwięcej ograniczała się na publicznych, korporacyjnych i na cel dobroczynny urządzanych zabawach. O balach prywatnych, głośnych ze zbytku i wystawy, nic prawie słychać nie było, co w obec biedy powszechnej godne największego uznania.

Za to Kraków zwykle cichy i skromny obchodził świetnie kończący się karnawał.

Przybył tam podolski hrabia Ignacy Stadnicki, który zadziwił oszczędne miasto wielkim przepychem olbrzymiego balu. Wspaniale urządzony salon przystrojony był w świeże kwiaty; każda z przybywających dam dostawała kosztowny bukiet, a podniebienia smakoszów rozkoszowały się najwytworniejszemi specyałami. Podawano w obfitości trufle, ostrygi, ryby morskie i t p. smakołyki. Szampany i 100-letnie węgrzyny tryskały strumieniem. Prawda to, że „według stawu groble”, bo hrabia S. jest jednym z majętniejszych obywateli na Podolu, a za część dobrze zachowanych lasów, wyliczono mu niedawno 500,000 rubli gotówką.

Lwów, jak zawsze, roi się bogatymi i udającymi bogatych paniczami, a wszystko strojnie, paradnie, ekwipaże piękne, strzelcy kapią od złota. Tylko posażne panny jakoś w tym roku nie dopisały, bo według wyrachowań biegłych paniczów było wszystkiego dwie milionerki, a trzy krociowe.

Za to Poznań, któremu w ostatnich czasach, jak to mówią, „zalano sadła za skórę”, stara się połączyć *utile z dulci* i zabawę swoją kieruje ku celom dobroczynnym, wspomożenia biedy znacznie tam pomnożonej. Nowo obrana prezydentka dam św. Wincentego, hrabina Honoryna Kwilecka, kobieta, pochodząca z rodu dobroczynnego (bo siostra zapisanej w kronikach dobroczynnych Warszawy, ś. p. Teresy Russanowskiej), a przytem dama, obdarzona wielkiemi zaletami towarzyskiemi, urządzała z niemałem powodzeniem rozmaite ciche zabawy, loterye, koncerta i t. p., aby jakoś biedę miejscową uratować.

Tegoroczna pierwsza serya odczytów, rozpoczęła się już w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, na rzecz pomocy kasy Mianowskiego, wystąpieniem profesora Dziewulskiego, *O źródłach elektryczności*. Był to niejako jakby wstęp do dalszych odczytów, mających streścić jak najprzystępniej wszystko co tylko dotąd wiemy o elektryczności i jej zastosowaniu w praktyce. Przedewszystkiem też Prelegent objaśnił, jakim sposobem odbieramy wrażenia ze świata nas otaczającego, i doszedłszy do elektryczności oświadczył, że jakkolwiek zjawiska jej za pomocą zmysłów jako światło, siła, dźwięk a nawet i ciepło, widzimy i uczuwamy, ale samej istoty nie znamy i czem jest określić nie umiemy. Czynności tylko z badań i doświadczeń zdobyte, wykazały jasno, że elektryczność rozlana jest w całej przyrodzie i że w ogólnem określeniu nieznanego tego żywiołu, wydobywa się ją przez tarcie i chemiczne działanie metalów.

Wykładowi temu towarzyszyły doświadczenia odpowiednie, okazujące najprostsze zjawiska elektryczności, wywiązywanie się wodoru i tlenu, drgania nóg martwej żaby, oraz wiele innych równie ciekawych i zajmujących.

W roku zeszłym 1886, pewne grono złożone z 27 osób, postanowiło zawiązać rodzaj współki z dewizą „Oszczędność”.

Miano więc wyrzec się palenia cygar i papierosów, wstrzymać się od picia wszelkich trunków, słowem ograniczyć wydatki na rzeczy zbytku lub nałogu do *minimum*.

Zobowiązanie to ułożone w rodzaj statutu, sięgało nawet do drobiazgowych wydatków.

Każdy zaś z uczestników miał wnosić na ręce wybranego skarbnika, pewną kwotę oszczędzoną na ograniczonych w powyższy sposób wydatkach.

Były to jednak tylko dobre chęci, chociaż poparte słownem zobowiązaniem.

Z liczby 27 uczestników spółki oszczędnościowej, po roku zebrało się tylko 14, a mianowicie takich, którzy coś w myśl statutu odłożyli.

Inni ani grosza do kasy nie wnieśli.

Ten i ów powrócił do dawnych nałogów i... ostatecznie wniesione sumki rozebrano i spółkę rozwiązano.

Smutna to bardzo nowina, ale niech służy za naukę dla wszystkich, co nierozważywszy dobrze, zabierają się do przedsięwzięcia siły ich moralne przechodzącego.

Czeska Matica daje nam prześliczny przykład, zbiorowej z wytrwałością połączonej działalności.

Jest to stowarzyszenie poświęcone wyłącznie szerzeniu oświaty przez wydawnictwa odpowiednich dziełek i udzielanie pomocy do zakładania biblioteczek po wsiach i miasteczkach.

Członków liczy na tysiące a w ciągu ostatnich pięciu lat miało około *miliona* złotych reńskich dochodu, co z małą różnicą tyleż wynosi rubli. Tak pomyślny stan interesów Towarzystwa, głównie Matica zawdzięcza kobietom, łączącym się w pewne grupy dla wzmocnienia wpływu swoich zabiegów.

Śród towarzystwa lizbońskiego wielkie wrażenie wywołało następujące zdarzenie: Kilka miesięcy temu bogaty portugalski obywatel ziemski, p. Juan Menaro, poślubił bardzo piękną, lecz ubogą pannę ze starej arystokratycznej rodziny. Przed niedawnym czasem pani Menaro, urodzona hrabianka N. otrzymała zaproszenie na bal dworski, wszelako bez męża, którego, jako mieszczanina, pominięto. P. Menaro naprożno prosił żonę, aby pozostała w domu, perswadując, iż niewypada jej wcale pokazywać się na dworze samej bez męża. Młoda kobieta uparła się, chcąc koniecznie zajaśnieć w arystokratycznem towarzystwie urodą, klejnotami i bogatą tualetą, i niebacząc na prośby męża, na bal pojechała. Gdy jednak upojona uwielbieniem, jakiem ją od pierwszej chwili otoczono na balu, około północy powróciła do domu, zastała wszystkie drzwi zamknięte i mimo dzwonienia i stukania nikt jej nie otworzył. Pani Menaro pojechała tedy do krewnej swojej, która przyjęła ją natychmiast i wręczyła jej następujący bilecik męża:

„Pani! Dla mojego króla ja nie jestem odpowiednim do bywania na dworze. W domu moim jednak jestem panem i dla mnie pani jesteś nieodpowiednią do bywania w nim. Zapisuję pani roczną rentę w sumie 200,000 fr. i żegnam panią na zawsze!”

Drogo zapłacony bal.

Nowoczesny Parys. Kronika skandaliczna starożytnej stolicy Hellady, wzbogaconą została w tych dniach arcyzabawną historyą, wykradzenia pewnej nadobnej Greczynki. Syn starego księcia Kallopoulos, młody Arystydes, zakochał się szalenie, a afekta swoje złożył u stóp uroczej, ale biednej nauczycielki. Bohater Arystydes postanowił się z ukochaną swoją ożenić, ale surowy ojciec ani słyszeć o tem nie chciał; rozkochany młodzieniec oświadczył tedy, że wykradnie swój ideał, a na groźbę tę stary książę odpowiedział cofnięciem synowi udzielanej mu dotychczas pensyi i przedsięwzięciem odpowiednich kroków, aby mu nigdzie pieniędzy niepożyczono. Wiedział dobrze stary ojciec, że do wykradzenia panny potrzebne jest nietylko gorące uczucie, ale i pieniądze, czuł to dobrze i młody syn. Ale miłość bywa pomysłową, potrafił też i rozkochany Arystydes dać sobie radę, a jego deską zbawienia stała się... instytucya dorożek. Według panującego w Atenach zwyczaju, dorożkarz, obstalowany na daną godzinę w oznaczone miejsce, wręcza stalującemu 5 drahm zadatku. Na zwyczaju tym tedy oparł nasz nowoczesny Parys cały swój plan: obstalował na godzinę czwartą rano sto dorożek przed pałac swego ojca. Załatwiwszy interes, swobodny jak ptaszę, brzęcząc 500 drahmami w kieszeni, podążył do ukochanej, by ją o dniu i godzinie wykradzenia zawiadomić. Jedna z dorożek naturalnie przyjechała pierwsza przed pałac książęcy, pomysłowy młodzieniec wskoczył w nią, a w pięć minut później ukochana, promieniejąca szczęściem, siedziała przy jego boku i ruszyli w świat daleki. W godzinę potem stary książę zbudzony został ze snu porannego piekielnym hałasem: odgłos bijących o bruk kopyt, rżenie koni, gniewne, coraz głośniejsze przekleństwa odzywały się pod oknami książęcego pałacu. Papa Kallopoulos zarzucił szlafrok, wsunął nogi w pantofle i pospieszył do okna. Co za widok! Wzdłuż ulicy nieskończonym szeregiem stało 99 dorożek. Opór na nic się nie zdał, książę choć klął siarczyście, zapłacić musiał. A młodego Arystydesa dotąd ani śladu. Pojechał z ubóstwianą niechybnie do Krety!

Lalka w sali sądowej. Następujące sprawozdanie z berneńskiej izby sądowej z dnia 26 Stycznia r. b. ogłasza *Posłaniec z Morawy i Szlązka*: „Wysmukła młoda kobieta, na której zajmującem obliczu widać ślady wielkiej boleści, wchodzi do sali sądowej, wiodąc za rękę miluchną 5-cioletnią blondynkę. Młoda i skromnie, lecz nie bez pewnej troskliwości, ubrana kobieta stoi pod zarzutem... kradzieży i przy złożeniu generaliów zeznaje łkając, że jest wdową od Grudnia roku przeszłego i mieszka z córeczką swoją u matki zmarłego męża w okolicy Berna. Młoda wdowa, chcąc na kilka godzin choćby zapomnieć o ciężkiej swojej stracie, odwiedzała niejednokrotnie jedną z sąsiadek swojej teściowej. Nadeszły święta Bożego Narodzenia, święta uciechy, święto dzieciątek. Przeszłego roku drzewko dla małej i żwawej Klary, tego aniołka szczęśliwego małżeństwa, ustroiła jeszcze ręka kochającego męża i ojca, gdy tymczasem skrzętna ręka matki wybrała i uporządkowała małe podarki. Jakże zupełnie inne było ostatnie Boże Narodzenie! Małżonka, pozbawiona swego opiekuna, nie mogła spełnić życzenia ukochanej dzieciny, a Pan Jezus przyniósł tym razem małej Klarze tylko laleczkę. Lecz dziecię cieszyło się serdecznie ze skromnego daru i zapomniało o wszystkich rojonych w dziecięcem oczekiwaniu życzeniach. W kilka dni po świętach młoda kobieta spostrzegła, że sąsiadka traktuje ją z widoczną oziębłością i zdumiała się niepomału, gdy jej ta w końcu wszelkich odwiedzin wzbroniła. Daremnie prosiła młoda wdowa o wyjaśnienie takiego z nią postępowania, aż nareszcie pewnego dnia otrzymała pozew, aby stawiła się przed sąd, zostając pod zarzutem kradzieży. Jednocześnie odebrano małej Klarze laleczkę. Młodą wdowę oskarżono o kradzież tej lalki. Klarcia spoglądała dziś boleśnie na stół sądowy, ujrzawszy na nim swą lalkę, a gdy zwrócono mowę na kradzież i sędzia dał lalkę dziecku do rąk, pytając, czy ją zna i od kogo dostała? złotowłosa dziecina odparła z radosnym uśmiechem: „Pan Jezus przyniósł mi moją lalkę! Nieprawdaż, mateczko?” I niemożna było Klarci nakłonić, aby oddała z rąk tę swoją własność, tę jej pociechę i towarzyszkę niewinnych zabaw. Niebacząc na przebieg sprawy sądowej, dziecina ułożyła laleczkę na krześle i poczęła z nią w serdeczny sposób szczebiotać. Młoda wdowa zeznała, iż kupiła lalkę w pewnym sklepie galanteryjnym, którego właściciel obecnym był jako świadek. Powódka zaś chciała w lalce poznać własność swej córki, zaginioną w niewytłomaczony sposób; ponieważ nikt oprócz młodej wdowy domu jej nie odwiedzał, a lalkę wkrótce potem u Klarci widziano, przeto wdowa tylko ukraść ją mogła. Kupiec ze swojej strony zeznał, iż tego rodzaju lalek, jak lalka Klarci, nie kupuje w stanie całkowitym, lecz w częściach składowych, które należy zestawić i zazwyczaj znaczy on część górną (pierś i głowę) znakiem L. D.; jeżeli tedy w mowie będąca lalka jest u niego kupioną, ma niezawodnie ten sam znak. Klarcia musiała oddać swój skarb i zapłakana patrzała, jak niemiłosiernie krajano jej lalkę. W próżnym kadłubie lalki znaleziono znak L. D. Niewinność młodej wdowy została świetnie udowodnioną. Klarcia, łkając, zawinęła w chustkę szczątki swej ulubienicy, a świadek, pan D., wziął dziecinę za rękę i rzekł: „Pójdź, mój aniołku, w zamian za twoją lalkę możesz sobie u mnie wybrać najpiękniejszą.”

Odgadywacz myśli Cumberland, produkował się niedawno w Madrycie przed królową Krystyną i całym dworem. Na zapytanie królowej, gdzie czuje ona ból, Cumberland wskazał najpierw na jej serce, a następnie na mały palec, w który królowa w istocie ukłała się szpilką i pod rękawiczką drobnej ranki nie uważała.

Wielce zajmującą dla wszystkich obecnych była chwila, w której Cumberland zaczął odgadywać myśli infantki Izabeli, będącej, jak wiadomo, najczęściej na naprężonej stopie z rodziną. Cumberland poprowadził rękę infantki, która napisała na tablicy: „Jestem chętnie posłuszną królowi, ale zresztą nikomu.” Margrabia Pidal, członek akademii, ogłosił artykuł, w którym sztuki Cumberlanda nazywa darem szatańskim i który kończy uwagą iż: „przed pięćdziesięciu laty, podobnego człowieka zaprowadzonoby na stos u nas w Madrycie.”

Z dziedziny humorystycznej.

Bal, salon oświetlony oślepiająco, przez okna bije łuna jakby od pożaru. W podwórzu i na ulicy stoi kilkanaście powozów, woźnice ziewając opowiadają o swych panach zabawne historyjki. A tam na pierwszem piętrze brzmi kapela od ucha, zabawa w całej pełni, tłum, ścisk, zaduch, huczą podskoki i hołupce, krzyżują się spojrzenia, uśmiechy, westchnienia i... satyryczne przeglądy bawiących się.

Na boku siedzi młoda panienka, przy niej kawaler niby poważny, bo mu łysina troszkę przegląda, także niby młody ale jakoś sztucznie, bo wszystko w nim sztuczny włos... podfarbowany, wąsy wyszwarcowane, zęby ufabrykowane a nawet i zapał z jakim do panny przemawia... podpalony bufetem.

Panna powabna i posażna, ale jakoś niezadowolona z sąsiedztwa: buzię chmurzy, noskiem kręci, głowę odwraca od mówiącego i fruwając spojrzeniem po całym salonie, myśli sobie:

— Ah! gdyby mnie kto uwolnił od tego nudziarza. Popsuje mi całą zabawę swem natręctwem. Jakby go tu odpędzić od siebie?

Ale zalotnik niewtajemniczony w hypnotyczne sposoby czytania w cudzych myślach, na własny rachunek marzy o przyszłem szczęściu, gdy rączkę panienki nazwie swoją a od jej posażnych papierów procentowych, odcinać będzie kupony i uważać to za jedyną pracę swego życia.

Wdzięczy się też, wzdycha, nuży nadskokami a nudzi rozmową karmelkowej grzeczności.

— Dzisiejszy wieczór — mówi do panienki — na zawsze mi w pamięci zostanie.

— A to z jakiego powodu?

— Dostąpiłem w nim bowiem szczęścia tak dawno upragnionego, tańczenia z panią.

— Czy pan tak lubi taniec, że oddanie się mu szczęściem nazywasz?

— Tak, pani, lubię, bardzo lubię — odpowiada adonis z westchnieniem głębszem od dna kopalń

najgłębszej — ale jeżeli szczerze mam wyznać, to lubię taniec tylko dla tancerki.

— Ah! to zupełnie ode mnie przeciwnie, bo ja znów lubię tancerza tylko jedynie dla tańca.

— Czyżby i obecnie, w mazurze, który mam zaszczyt...

— Oh! panie, prawideł z wyjątkami nie znoszę.

— Taak! — mruknął kawaler i nieodebrawszy odpowiedzi na pociechę przeszedł do bufetu, a panienka uwolniona z oblężenia wcale niepożądanego, odetchnęła swobodniej z uśmiechem zadowolenia.

* * *

Dwóch Berlińczyków sprzeczało się z sobą, kto bogatszy: czy Francya czy Niemcy?

— Francya jest bogatsza — zawołał Gotlib — bo zapłaciła Niemcom pięć miliardów kontrybucyi i tego nie uczuła nawet.

— Zapewne — odrzekł na to Fryc — piękna to sumka, ale i Niemcy choć dostały pięć miliardów a także tego nie uczuły.

* * *

Amerykańskie gazety opowiadają ciekawe szczegóły o elektycznym bankiecie, wyprawionym przez znanego elektro-technika Edissona, dla swych przyjaciół.

Zaproszonych było 20 osób. Drzwi domu otwierały się dla gości same, jak w czarodziejskich bajkach. Ściany pokoju były literalnie pokryte guzikami, sprężynami, rzędami drutów, dotknięcie się do których wywoływało coraz nowe i bardziej zadziwiające zjawiska. Sofa, skoro kto na niej usiadł grała natychmiast jakąś muzykalną kompozycyę, jedno krzesło przewoziło gościa do stołowego pokoju, drugie rozszerzało się i formowało łóżko, inne znowu zmieniało się na welocyped. W stołowym pokoju posąg Jowisza z ukrytym wewnątrz fotograficznym przyrządem, wypowiedział mowę. Potrawy i napoje przygotowane były siłą elektryczności. Pieczony kapłon, pod nożem gości piał „kukuryku", kalafiory połyskiwały fosforycznym blaskiem, a nalane w puhar wino wrzało, jak u Mefistofelesa w Fauście. Jeden z gości wyciągnął rękę do stojącej na stole piramidy owoców, gdy wtem, winne grono, które chciał wziąć, zmieniło się w jednej chwili w grono jasnych elektrycznych lamp. Służących wcale nie było widać, półmiski same się przysuwały i znikały.

Urządzeniem tego czarodziejskiego bankietu Edisson chciał dać dotykalny dowód, jak dalece dziś już może być zastosowana siła elektryczności do potrzeb codziennego życia.

* * *

W Wenecyi w teatrze Goldoniego przedstawiano niedawno szereg historycznych dramatów, między innemi zanadto sensacyjną sztukę Machiavela pod tytułem: „Mandragola".

Ponieważ sztuka ta, jak niektóre kryminalne procesy, powinna być przedstawianą przy zamkniętych drzwiach, jedna więc z miejscowych gazet oświadczyła, że ogłosi nazwiska wszystkich dam, które przybędą do teatru. I cóż się stało? Większość widzów składała się z dam, ale wszystkie przybrane były w domina i na twarzy miały maski.

* * *

Aleksander Dumas (ojciec), zaproszony został pewnego razu przez jakiegoś margrabiego na obiad, na którym miał być również p. X., niezbyt przyjaźnie usposobiony dla znakomitego autora, nieżywiącego dlań także szczególnej sympatyi.

Pan X. przyjął zaproszenie pod warunkiem, żeby Dumas, którego się wszyscy z powodu jego złośliwego dowcipu obawiali, zobowiązał się raz jeden tylko podczas obiadu przemówić.

Margrabia zakomunikował ten warunek Dumasowi w przekonaniu, iż ten odrzuci go z oburzeniem; Dumas jednak na dziwaczne żądanie swego wroga zgodził się chętnie.

Przy obiedzie toczyła się ożywiona gawęda; pan X. szczególniej był wyjątkowo rozmowny i popisywał się dowcipem swoim, gdy tymczasem ku niewymownemu zdumieniu wszystkich obecnych, Dumas siedział na krześle swojem, pogrążony w ponurem milczeniu. Między innemi potrawami podano paszteciki, będące ulubionym przysmakiem pana X., który ich sobie też nie żałował. Gdy mu nareszcie po raz trzeci czy czwarty podano półmisek, zwrócił się do gospodarza, mówiąc: „Wybacz pan, zgładziłem już tyle tych smacznych pasztetów, co Samson Filistynów!" — „I tem samem narzędziem" — odezwał się po raz pierwszy suchym tonem Dumas. Śród homerycznego śmiechu biesiadników pan X. opuścił towarzystwo.

* * *

Paradyzy w teatrach są zwykle tak urządzone wygodnie, że mogą służyć najwyborniej za probierz zdrowia i wytrzymałości bywających w tym zbiorowniku podniesionej atmosfery do stopnia gorącości łaźni.

W tych dniach na koncercie Sarasatego, jeden z widzów paradyzowych, pragnąc przyjrzéć się scenie, nachylając się przycisnął tak sąsiada, że go uderzył w twarz nosem.

Przygnieciony wydobywa chustkę i wyciera nią nos sąsiada wcale ręki nie żałując.

— Panie! — woła zaczepiony — co pan robisz?

— Cóż takiego?

— Nos mi pan urwiesz.

— Ah! przepraszam, myślałem, że to mój nos własny, ale tu taka ciasnota, że się nie wie, czy nos mój czy cudzy.

W tej chwili obok narzeka jeden z widzów:

— Ah! jak mi też noga ścierpła.

— Nic dziwnego — odzywa się obok siedzący, w tej torturze średniowiecznej wszystkich bólów doświadczyć można.

— Panowie! — odzywa się nagle narzekający na ścierpnięcie — czyją ciągnę nogę z pod ławki?

— To moja! — woła jeden.

— Nieprawda, to moja! — woła drugi i figlarze zaczynają się sprzeczać z ogólnem zadowoleniem reszty widzów.

— Janku — zapytuje młoda kobieta swego męża — czy to nie Wacław co siedzi naprzeciwko?

— Ej! tak on podobny do Wacława jak pięść do nosa. Ale co prawda, uderzająco do niego podobny. Patrz kłania się nam, jakżeż do Wacka podobny, kiedy nawet zdaje mu się, że nas zna.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Февраля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Opis do N-ru 7.

(Dokończenie).



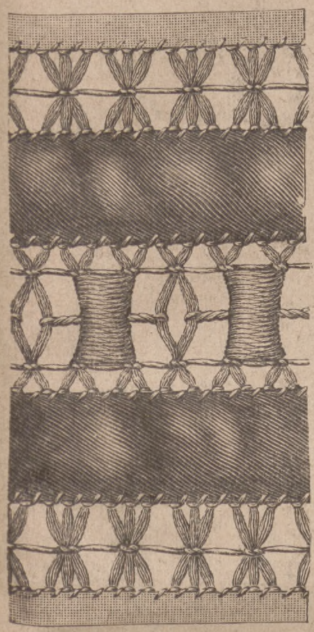
N. 1. Motyl robotą filigranową. Patrz ryc. 2—3.



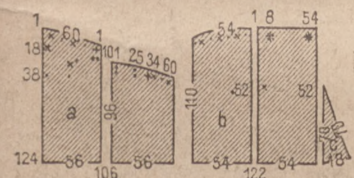
N. 4. Bukiet Makarta ze złoconych traw i szyszek leśnych z gwiazdeczkami i ptaszkiem.

N 23—25. Serweta na środek nakrytego stołu. Haft płaski i sznureczkowy, robota szydełkowa i kratki ażurowe.

Serweta z płótna domowej roboty, miała 58 c. szrokości a 80 długości. Jeden koniec zdobił szlak szeroki, do którego deseń do haftu dajemy w naturalnej wielkości na r. 25, brakującą środkową figurę łatwo można podług ryc. 23 ułożyć. Haft płaski i sznureczkowy, robiony był włóczką *Crevel* blado pąsową i popielatawo niebieską; jaśniejszy cień na deseniu oznacza włóczkę pąsową. Muszki haftować na całem tle. Pod szlakiem haftu zdobią serwetę gwiazdy szydełkowe i kratka ażurowa robiona na wyciąganych w płótnie nitkach, do których próbkę w naturalnej wielkości dajemy na r. 24. Rozety robione z włóczki niebieskiej, po przyszyciu do tła krytemi ściegami, zdobią długie ściegi i supełki z włóczki pąsowej. Paski rzadko dziergane ograniczające szlaki, są z jednej strony pąsowe z drugiej niebieskie. Kratki wiązane są obydwoma kolorami. Brzeg oszyty jest 8 c. szeroką nicianą koronką, ozdobioną pąsowemi, 7 cent. długiemi kwaścikami i przewleczoną 2 razy pąsową włóczką.



N. 25. Kratka wiązana do r 37.



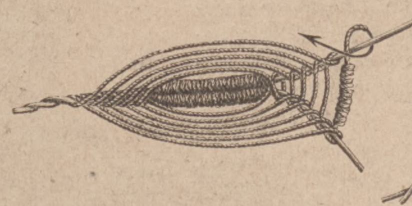
N. 6. Wymiar kroju tuniki do ryc. 28—30.



N. 9. Dyjadem i przybranie do stanika. Haft stalowy.

N. 26. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Stanik 27 cent. długi składał się ze wstawek haftowanych 4 cent. szerokich i z 3 cent. szerokich kontrafałd z półbatystu. Spódniczka marszczona zrobiona była z dwóch wolantów 10 i 18 cent. szerokich a 160 cent. długich. Wykrój szyi oszyty falbanką 7 cent. a rękawki zrobione z 5 cent. szerokiej, ściągniętej na wstążeczkę. Kokardy ze wstążki niebieskiej atłasowej $5\frac{1}{2}$ cent. szerokiej.



N. 2. Robota skrzydełka do ryc. 1.



N. 3 Część skrzydełka do ryc. 1. Patrz ryc. 2.



N. 7. Taboret z haftem rococo. Patrz ryc. 8.

N. 27. Ubranie z długą żakietką, dla chłopczyka lat 6-8.

Pod przody żakietki tylko w górze na haftkę zapięte, dodany jest plastron kamizelkowy z jednej strony przyszyty, z drugiej na haftki zapinany. Przy żakietce z ciemno szafirowego dyagonalu; plastron zrobiony był z piaskowego materyału jersay, ozłobionego w górze i u dołu 7 cent. szerokiemi szlakami haftowanemi jedwabiem żółtym, pąsowym i niebieskim. Kołnierz marynarski. Guziki z białej konchy i pokryte materyałem, przyszyte *à la breton.* Majtki krótkie.

N. 30. Suknia ozdobiona bretelkami.

Na staniku bawetowym z tyłu sznurowanym dane ładne bretelkowe ubranie ze wstążki 6 cent. szerokiej i z tiulu w muszki, na wcięciu w pasie złączone przepięciem z plisowanego tiulu, od którego spuszczone długie końce ze wstążki.

N. 31. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Ładne domowe ubranie odrobione było z tabaczkowej wełnianej krepy, trochę ciemniejszego pluszu i z kremowej *surah.* Podszewkowa spódnica pokryta z przodu gładko, a z boków w fałdy ułożoną krepą wełnianą. Tył sukni pokrywa suto podpinana, aż do brzegu dochodząca draperya, na którą trochę zachodzą, pluszowe ranwersy, draperyi przedniej fartuszkowej. Pod przody stanika tylko w górze na haf-



N. 8. Część haftu do ryc. 7.



N. 10. Kołnierzyk haftem stalowym. Patrz ryc. 9.



N. 11—12. Berecik objęty futrem.

tkę zapięte, dodana jest z boku zapinana, fałdowana kamizelka z *surah*. Wykładany pluszowy kołnierz, ogarnirowany jest riuszą z *surah*, która dana także przy plisowanym stojącym kołnierzu.

N .32. Suknia z krótkim stanikiem.

Na spódnicy oszytej u dołu 25 c. szerokiem plisowaniem, dane drugie plisowanie do paska dochodzące, w odstępie 20 cent. od dołu zaszębnowane i jak wolant puszczone. Z przodu dodana krótka draperya fartuszkowa. Zwierzchni materyał przodów stanika na środku niewidocznie zapinanego, jest zmarszczony, w sposób wskazany na ryc. 32 i zakończony z jednego boku plisowaniem z materyi jasno oliwkowego koloru, z której zrobiona także szarfa i falbanki przy rękawach. Saknia była z materyi herbaciano zielonego koloru.

N. 33. Ubranie wieczorowe.

Na spódnicy z oranżowego fularu, naszyte są u dołu dwa szerokie wolanty z koronki *Chantilly*, zakończone w górze 4 cent. szeroką torsadą z perełek; nad któremi upięta draperya z takiej samej koronki. Fularowy stanik z baskiną pokryty koronką; przy podłużnym wykroju i przy krótkich rękawkach, przewinięta wstążka tego co podwleczenie koloru, z której dane także szarfy i kokardy na spódnicy.



N. 17. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc, 4 w N. 7.



N. 15. Suknia wieczorowa z krótkim tren… Patrz ryc. 12 w N-rze 7.

Opis do N-ru 8.

N. 1—3. Motyl filigranową robotą, jako szpilka do głowy.

Robota filigranowa znana jest od lat kilku czytelniczkom Tyg. mód, gdyż niejednokrotnie podawaliśmy już jej wzory. W motylu ryc. 1 każde skrzydełko składa się z trzech części wykonanych oddzielnie i połączonych z sobą; ryc. 2 wskazuje wykonanie jednej części skrzydełka w której podstawę środkową stanowi drut około 5 cent. długi, złożony w dwoje i skręcony parę razy w górze. Na końce rozdzielone wsuwa się po kawałku stalowego bajorku (w mniejszych skrzydełkach $3/4$ cent., w większych $1\frac{1}{2}$ cent. długości), zakręca druciki tuż nad bajorkiem i końce wygina aby się rozchodziły szeroko. W około takiej podstawy okręca się w równych odstępach świecący cienki drucik stalowy, podług ryc. 2; połączenie części z sobą dopełnia się za pomocą wystających końców druta zaś dwa brzeżne przy każdem skrzydełku stanowią stojące zakończenie, na które wsuwa się bajorek kolorowy. Przyozdobienie skrzydełek stanowi także bajorek złoty i kolorowy, nawłóczony na drucik w czasie roboty każdej części i blaszki złote przytwierdzone na wierzchu. Korpusik robi się z drutu pokrytego wypukło watą owiniętą bajorkiem nawleczonym na cieniutki drucik; oczy z perełek, wąsiki z kręconego druciku.

N. 7—8. Taboret z haftem rococo.

Na ryc. 8 dajemy w naturalnej wielkości część haftu, zdobiącego pokrycie taboretu, wykonanego na mocnej surowej materyi pąsowej, ściegiem płaskim kolorowym jedwabiem kordonkowym. Kontury i żyłki dodane grubą nitką złotą, stanowiącą również połączenie arabeskowe wszystkich części deseniu. Brzegi taboretu otacza festonowany ciemno zielony aksamit.

N. 9—10. Przybranie do stanika i djyadem z haftu stalowego.

Połowę stojącego kołnierzyka podajemy w naturalnej wielkości na ryc. 10 na której widać dokładnie wykonanie haftu. Potrzeba najpierw narysować deseń na mocnem płótnie, następnie kontury odznaczyć podwójnym stalowym sznureczkiem przytwierdzonym dzierganemi rzadkiemi. Sznureczek wypadający od brzegów zakłada się w pikoty, które jak to widać na ryc. 10 stanowią połączenie deseniu.



N. 16 Ubranie balowe.



N. 18. Suknia z fałdami. Patrz ryc. 29 w N-rze 7.



N. 13—14. Kapelusz z rondem pluszowem.



N. 25. Suknia wieczorowa z krótkim trenem. Patrz ryc. 40.



N. 19. Balowe ubranie głowy dla młodej panienki.

N. 20. Uczesanie z wysoko w pukle podwiniętemi włosami.

N. 21. Ś ubne ubranie …



N. 22. Ubranko do teatru dla młodej mężatki. Patrz ryc. 42.

N. 23 Kołnierzyk z pukielkow wązkiej wstążki.

N. 24. Kapotka z chusteczki koronkowej. Patrz ryc. 43.



N. 26. Ubranie ślubne.

Zapełnienie tła w deseniu między sznureczkiem, stanowią drobniutko pocięte kawałeczki stalowego bajorku, naszyte w różnym kierunku jedne przy drugim.

N. 15. Ubranie wieczorowe z krótkim trenem. Patrz ryc. 12 w N-rze 7.

Dolny brzeg sukni i trenu ogarnirowany falbaną 15 cent. szeroką wyciętą w ząbki, ułożoną w kontrafałdy i przeszytą w nagłówek. Suknia z blado niebieskiej materyi surah, przybrana takimż haftowanym tiulem, z którego upięta draperya przednia 93 cent.



N. 28. Suknia zdobna aksamitem. Patrz ryc. 29—30 i ryc. 6.



N. 27. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc 38—39.



N. 31. Kosz do bielizny.

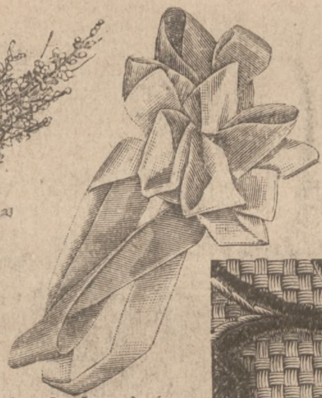


N. 29. Suknia przybrana aksamitem. Patrz ryc. 28—30 i r. 6.

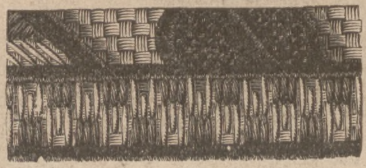
przy brycie tiulowym dodane dwa proste, zszyte ze sobą bryty materyi, 109 cent. długie, w górze w części przedniej zmarszczone i wszyte w pasek ku tyłowi zaś ściśle sfałdowane a z brzegu założone w pukiel przez co skrócone do 55 cent. Na upięcie tylne potrzeba dwóch prostych brytów po 120 cent. długich, 120 szerokich, po zmarszczeniu wszytych w pasek i podpiętych w sposób widoczny na r. 12. Środkiem brytów dodana część tiulowa 62 c.



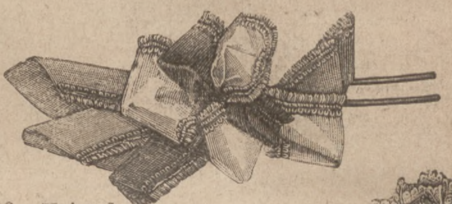
N. 32. Bukiecik do sukni.



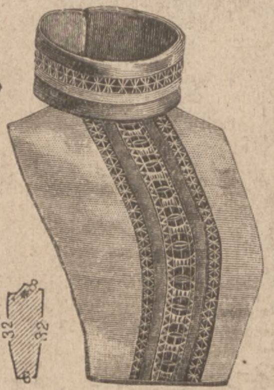
N. 35. Kokarda do sukni.



N. 38. Szlaczek brzeżny do ryc. 27.



N. 33. Kokarda do włosów.



N. 36—37. Szmizetka zdobna kratką ażurową i wymiar kroju. Patrz ryc. 5.



N. 39. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 27 i 38.



N. 30. Suknia ryc. 28—29 przedstawiona z boku.

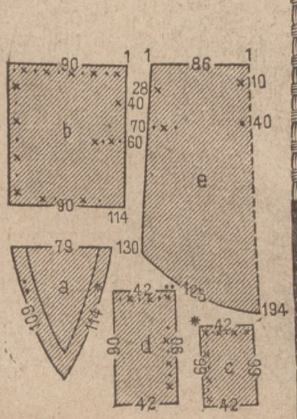


N. 34. Kokarda z wstążki i koronki, jako ubranko.

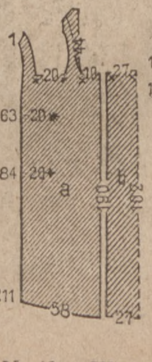
długa, 122 szeroka, w górze zmarszczona, z lewego boku spuszczona gładko, z prawego podpięta w pukiel przy samym pasku, niżej zaś sfałdowana do 68 cent. Z lewego boku

szeroka, 100 cent. długa. Stanik bawełnowy ma bertę ułożoną z wstążki i tiulu koronkowego; kokardy z wstążki morowej i atłasowej.

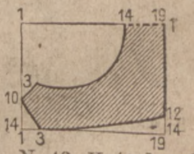
(*D. n.*)



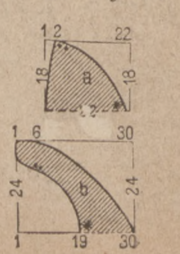
N. 40. Wymiar kroju do ryc. 25.



N. 41. Wymiar kroju trenu do ryc. 2 w N-rze 7.



N. 42. Krój do r. 22.



N. 43. Krój do r. 24.